

Ja, Majka

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2021
Text © copyright by Rafał Witek, 2021

Projekt okładki *Anita Graboś*

RAFAŁ WITEK

Ja, Majka



NASZA KSIĘGARNIA

Dzień pierwszy

Uciec jest łatwo. Tak właśnie robię.

To był ostatni dzień kolonii. Wszyscy się cieszyli, że wracają do domu. Oprócz mnie. Ja się nie cieszyłam. Myśl o powrocie do ciasnego mieszkania wypełnionego wrzaskiem młodszego brata, narzekaniami matki i docinkami jej nowego faceta była przygnębiająca. I wtedy wpadłam na ten pomysł. W zasadzie to miałam go od dawna, ale... Był jedną z tych rzeczy, o których z góry wiadomo, że się ich nie zrealizuje. Aż do momentu, w którym nagle musi się je zrealizować. Aby dalej żyć.

– Autokary podjechały! – Pani Marzena wpadła do naszego pokoju i omiotła go wzrokiem. – Jesteście gotowe, dziewczynki?

Luśka, Gabi i Fatima kiwnęły głowami. Chwyciły swoje walizki na kółkach i wywlekły je na korytarz.

– Co wy tam macie, kamienie? – jęknął pan Arek, pomagając znieść bagaże po schodach.

– Prowiant na drogę – odparły dziewczyny.

Prowiant. To jedno z tych słów, które kojarzą mi się z wyjazdami. W normalnym życiu nikt nie używa słowa „prowiant”. Nie jest potrzebne. A latem nagle z jakiegoś powodu wychowawczyniom i kucharkom nie przechodzą przez gardło takie wyrazy jak „jedzenie”, „picie”, „kanapka”, „drugie śniadanie”. One na jedzenie dla nas muszą mówić „prowiant”. No ale nieważne. Ważne, że kiedy usłyszałam to słowo, nagle zrozumiałam, że nigdzie nie jadę.

Czasami takie przypadkowe słowa, dźwięki lub obrazy pomagają mi coś sobie uświadomić. Są zaklęciami, które uruchamiają maszynę skojarzeń. Tak jak w tym automacie do gry na nadmorskiej promenadzie: wrzuca się żeton i przekręca gałkę, która popycha jednogroszową monetę. Moneta toczy się przez metalowy labirynt i – jeśli spadnie w określonym miejscu – daje wygraną. A jeśli spadnie w złym miejscu? Wtedy trzeba zapłacić za kolejną szansę.

– Idziesz? – Gabi przystanęła w otwartych drzwiach i patrzyła na mnie pytająco.

– Tak, tak. – Kiwnęłam głową. – Tylko... muszę jeszcze coś sprawdzić w walizce.

Gdy zdałam sobie sprawę, że naprawdę zamierzam zrobić to, co zamierzam zrobić, wszystko

inne stało się proste. W ułamku sekundy. W okamgnieniu, jak mawia moja pani od polskiego. Choć jej okamgnienie akurat trwa strasznie długo, bo pani od polskiego ma problemy z opadającą powieką.

Pociągnęłam suwak od walizki i otworzyłam wieko. Upchane kolanem ciuchy wypadły na podłogę, jakby były na sprężynie. Zdjęłam z ramienia podręczny plecak i też go opróżniłam. Błyskawicznie podzieliłam rzeczy na dwie kategorie: to, co mi się przyda, i to, czego mogę się pozbyć.

Brudna bielizna i ubrania – z powrotem do walizki. Ostatnie czyste podkoszulki, majtki i skarpety – do plecaka. Zapasowe trampki, pamiątki i nagrody z kolonijnych konkursów – do walizki. Portfel z legitymacją, jedzenie – do plecaka. Komórka – do kieszeni!

Wysunęłam rączkę i pociągnęłam walizkę za sobą na korytarz. Kółka zaturkotały po wykafelkowanej podłodze ośrodka. Pan Arek i wszyscy wychowawcy byli już na dole, więc nie miał kto mi pomóc. Sama zniosłam walizkę na parter. Dopiero przy wejściu natknęłam się na panią Marzenę.

– Gdzie ty łazisz, Nikola? – fuknęła na mnie. – Właśnie szłam cię szukać!

– Już jestem – odpowiedziałam. – Zapomniałam czegoś.

– Mówiłam, żebyście się spakowały po śniadaniu – zrzędziła wychowawczyni. – Nie byłoby teraz zamieszania. Biegiem do autokaru!

Luk bagażowy był jeszcze otwarty. Kierowca w białej koszuli bez słowa wziął moją walizkę i upchnął ją wśród innych. Potem zatrzasnął ciężką metalową klapę. Rozgrzana karoseria piętrowego autokaru wydzielala zapach farby, oleju silnikowego i jakichś smarów. Trzymając przed sobą plecak, wdrapałam się po stromych schodkach przednim wejściem i przedefilowałam wąskim korytarzem do rzędu siedzeń w środku. Luśka machała, że ma tam dla mnie miejsce.

– Gdzie byłaś? – zapytała.

– Słuchaj – powiedziałam, ignorując jej pytanie. – Ja nie jadę.

– No co ty – wymamrotała Luśka. – Nie panikuj, jakby co, mam tabletki na rzyganie.

– Nie o to chodzi. – Pochyliłam ku niej głowę jak dobra przyjaciółka, która właśnie ma zamiar się zwierzać. – Musisz mi pomóc.

– Dwa, cztery, sześć, osiem, dwanaście, dwadzieścia dwa, dwadzieścia cztery... – Pani Marzena stała z przodu autokaru i liczyła głowy. – Wszyscy są?! – zawołała dla pewności, gdy skończyła.

– Taaak! – odpowiedzieliśmy chórem.

– Teraz jest ten moment – mówiłam gorączkowo do Luśki. – Powiedz pani, że nie zdążyłaś się wysikać. Niech kierowca otworzy środkowe drzwi. Wybiegniesz do toalety, a ja z tobą. Że niby dla towarzystwa. Potem wrócimy razem pod autokar, żeby nas widzieli przez szyby. Wejdziemy razem na schodki. Kiedy facet zacznie zamykać drzwi, wyslizgnę się na zewnątrz. Tu ci zostawiam moją czapkę z daszkiem. Jak ruszycie, przyczepisz ją do zagłówka. Gdyby pani nas jeszcze liczyła w trakcie jazdy.

Luśka zrobiła wielkie oczy.

– Ty tak na serio? – spytała przerażonym szeptem.

– Na serio. Dawaj, bo facet odpala silnik!

Luśka pokręciła głową.

– Nie będę z siebie robiła idiotki za darmo. Coś ci się stanie i wszystko będzie na mnie.

Wygrzebałam z plecaka butelkę soku i dwadzieścia złotych.

– Masz, przydadzą ci się na drogę – syknęłam. – I krzycz, bo zaraz będzie za późno!

– Proszę paniiii!... – zawyła Luśka swoim wysokim głosem.

– Co znowu? – Pani Marzena ledwo trzymała się na nogach ze zmęczenia.

– Muszę siku. Nie wytrzymam!

Pani Marzena zmierzyła ją z oddali wściekłym wzrokiem.

– No weź, opóźniasz! – zawołały jakieś dzieciaki z pierwszych rzędów. – Jedźmy już.

– Naprawdę nie wytrzymam! – powtórzyła Luśka.

– Proszę otworzyć środkowe drzwi – powiedziała z rezygnacją pani Marzena do kierowcy. – Lusiu, masz trzy minuty. Biegnij do tych toalet na parterze, koło jadalni.

– Dobrze, proszę pani. – Luśka kiwnęła głową. – A może Nikola iść ze mną? Bo samej głupio.

Nie czekałyśmy na odpowiedź pani Marzeny, tylko wybiegłyśmy z autokaru. Luśka bez niczego, ja z tym moim podręcznym plecakiem. W kilku susach pokonałyśmy podwórko i wbiegłyśmy do ośrodka. Bez dzieciaków wydawał się cichy i wymarły. W jadalni krzesła nałożone były na blaty stołów. Krzesła na stołach to najlepszy symbol pustki i odjazdu. I plamy słonecznego światła na podłodze, dywany utkane z blasku.

Weszłyśmy do łazienki. Obmyłam twarz chłodną wodą. Z tego upału i emocji byłam mokra jak ryba.

– Nikola, możesz jeszcze zmienić zdanie – powiedziała Luśka. – Jak chcesz, to ci oddam te dwie dychy.

Luśka chodziła do mojej szkoły, ale do innej klasy. Ja do szóstej B, ona do E. Mieszkałyśmy w nie-

wielkiej miejscowości, ale szkoła była olbrzymia, dowożono do niej uczniów z całego powiatu. Fabryka przegrywów. Tak ją nazywaliśmy, bo mało kto po tej naszej szkole się dostawał do dobrego liceum. Przed koloniami się z Luśką nie kumplowałyśmy. Teraz też w sumie nie, ale ze wszystkich dziewczyn z naszego pokoju była jedyną, z którą dało się wytrzymać. Gabi i Fatima pochodziły z jakiejś innej galaktyki. Z galaktyki dobrych uczennic, które mają solidne kieszonkowe, codziennie dzwonią do rodziców, zgadzają się we wszystkim z wychowawczyniami i chętnie „biorą udział w życiu grupy”. Tak im pani Marzena napisała na pożegnalnych dyplomach. Pojechały na te darmowe miejskie kolonie, bo wśród wychowawców byli znajomi ich rodziców. Ja i Luśka pojechałyśmy, bo na żaden inny wyjazd nie byłoby nas stać.

– Wiesz co, ja chyba naprawdę się wysikam – stwierdziła Luśka i klapnęła na deskę.

Parsknęłam śmiechem. Wariatka z tej Luśki.

– Jak ty, to ja też. – Zająłam kabinę obok. – Pewnie nieźle na nas bluzgają w autokarze.

– A co mnie to? – Luśka najwyraźniej odzyskała swój codzienny luz. – Nikola, nie będę wnikać, co ci odbiło, ale... uważaj na siebie.

– Ma się rozumieć. – Zapukałam w dyktę oddzielającą nasze kabiny.

Umyłyśmy ręce i popędziłyśmy z powrotem do autokaru. Plecak w ostatniej chwili zostawiłam przy wejściu do toalet. Teraz już wiedziałam, że będę musiała po niego wrócić.

Silnik autokaru burczał jednostajnie. Podbiegłyśmy do otwartych środkowych drzwi. Luśka weszła na schodki pierwsza i zawołała do pani Marzeny:

– Już jesteście!

Wystawiłam głowę ponad poziom zagłówków i pomachałam, żeby pani Marzena zarejestrowała również moją obecność. Potem schyliłam się, zrobiłam w tył zwrot i wyskoczyłam z pojazdu. W tym czasie Luśka grzebała się na schodkach i krzyczała coś jeszcze do pani Marzeny, żeby przyciągnąć jej uwagę. I żeby dzieciaki siedzące naprzeciwko środkowego wejścia nie zauważyły, że znikam. Choć pewnie i tak by nie zauważyły, bo były zbyt zajęte sobą, rozmowami, szukaniem nie wiadomo czego w plecakach.

Nie myśląc o niczym, przywarłam do cielska autobusu. Modliłam się, żeby kierowca nie wypatrzył mnie w bocznym lusterku. Przemknęłam do tyłu i tam się skryłam na chwilę, a potem pognałam za auto kierownika ośrodka zaparkowane przed budynkiem gospodarczym. Kucając w jego cieniu, usłyszałam syk – zamykały się pneumatyczne drzwi. Warkot pracującego na jałowym biegu sil-

nika zmienił częstotliwość. Pojazd ruszył. Bałam się wystawić głowę z mojej kryjówki, więc zamiast odprowadzać go wzrokiem, odprowadzałam go słuchem. Szkoda, fajnie byłoby pomachać Luśce na do widzenia. Zamiast tego wyjęłam z kieszeni komórkę i puściłam jej esemesa z machającą rączką. Odpisała prawie natychmiast: „Pani mówi, że pierwszy przystanek za dwie godziny. Chowaj się dobrze. Narka!”.

Dwie godziny. A więc tyle czasu miałam, żeby spokojnie zniknąć.

– Cześć, jestem Nikola, mam dwanaście lat i niczym się nie interesuję. – Tak się przedstawiłam na pierwszym kolonijnym ognisku. Od początku czułam się za stara na ten wyjazd, tam były prawie same ósmio- i dziewięciolatki, a kilkoro dzieci nawet młodszych. Nas, starszaków, było kilka sztuk. I co miałam powiedzieć? Że interesuję się modą albo baletem i ratowaniem świata? To moja sprawa, czym się interesuję, nie mam ochoty zwierzać się z tego bandzie nieznanych ludzi przy jakimś ognisku!

Tak naprawdę miałam prawie trzynaście lat, ale to by zabrzmiało jeszcze gorzej. Mieć trzynaście lat i jechać na kolonie z maluchami to trochę tak, jak-

by powtarzać klasę. Od razu patrzy na ciebie jak na dziwadło, wyrzutka, kogoś podejrzanego. No więc powiedziałam, że mam dwanaście. Ratował mnie wygląd. Niektóre moje koleżanki zaczynały już przypominać swoje starsze siostry, a ja w kucykach i legginsach wciąż wyglądałam na młodszą, niż byłam. No i nic mi jeszcze za bardzo nie urosło. W każdym razie nie na tyle, aby luźny T-shirt nie mógł tego zakryć.

Matka i szkolna pani pedagog wypchnęły mnie na ten wyjazd trochę na siłę. Mielno, morze, wielki ośrodek kolonijny wypełniony grupami z całego kraju. Taki sam moloch jak moja szkoła. Codziennie przy śniadaniu walka o chleb, o masło, o kawałek sera. Na plaży walka o kawałek wolnego miejsca, o niesypanie piachem na ręcznik, o niebycie ochlapaną zimną wodą z wiaderka przez jakże dowcipnych chłopców. Wieczorem walka o wolny prysznic, o niezapchaną toaletę, o chwilę ciszy w pokoju. Miałam dosyć walki. Siedziałam oparta plecami o auto kierownika ośrodka i chłonełam ciszę. Bo teraz na terenie ośrodka zalegała głęboka, niesamowita cisza. Wewnątrz, na piętrach z pokojami, trwało sprzątanie, ale te odgłosy tu nie docierały. Oddychałam ciężko jak ktoś, kto zrzucił z siebie wielki ciężar. Już się nie bałam. Zawsze tak mam, boję się tylko przed. Przed klasówką, przed szkol-

nymi występami, przed wizytą u dentysty. Kiedy sprawa się zacznie, strach mi przechodzi.

Powoli docierało do mnie, że autokar naprawdę odjechał. Czyli zostałam sama. Bez wychowawczyni nad głową, bez koleżanek nad uchem. Bez kolonijnego planu zajęć i bez wynikających z niego pokrzykiwań, poganiania, ponagleń. Sama w środku upalnego lipcowego dnia w kurorcie nad Bałtykiem.

Chciałam sięgnąć do plecaka po wodę i wtedy uświadomiłam sobie, że nie mam go przy sobie. No tak, zostawiłam go w ośrodku. Siedzę tu i myślę, a tam cały mój dobytek leży niestrzeżony. Lepiej się ruszyć i po niego pójść.

Wystawiłam czubek nosa zza auta kierownika. Na zewnątrz ośrodka nadal nikogo nie było. Podbiegłam do drzwi wejściowych. Otworzyłam je bez jednego skrzypnięcia i wsunęłam się do chłodnego wnętrza pachnącego pastą do podłóg. Toalety były za rogiem, po lewej stronie na końcu korytarza. Skręciłam tam i od razu serce zaczęło mi walić jak głupie. Przy wejściu do damskich toalet nie było mojego plecaka! Kurczę, nie powinnam była go tam zostawiać. Pewnie już któraś ze sprzątaczek zdążyła go wypatrzeć i zabrać. Gdzie ja go teraz znajdę? A w środku jest przecież mój portfel z pieniędzmi, bielizna, resztki jedzenia, mały czysty ręcznik. Dobrze, że chociaż komórkę mam w kieszeni.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
05-075 Warszawa-Wesoła, ul. Apteczna 6
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl
tel. 22 643 93 89

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl

www.nk.com.pl

*Książka została wydrukowana na papierze
Ecco Book Cream 65 g/m² wol. 2,2.
ANTALIS Polska*

Redaktor prowadzący **Katarzyna Lajborek**
Redakcja **Katarzyna Szroeder-Dowjat**
Opieka redakcyjna **Magdalena Korobkiewicz**
Korekta **Zuzanna Laskowska, Joanna Kończak**
Redaktor techniczny, DTP **Katarzyna Zając**

ISBN 978-83-10-13538-4

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2021 r.
Wydanie pierwsze
Druk: POZKAL, Inowrocław